



fol. Lidia Molak

Mądre życie prostych ludzi

Zenon Cieślak

Życie małżeńskie to ciągle uczenie się znoszenia siebie nawzajem w miłości. Tę mądrość tata wcielił w życie w sposób dosłowny i konsekwentny.

Na początku trwającej już ponad dekadę separacji małżeńskiej mieliśmy z żoną etap wzmożonej wymiany esemesów. Ja go zainicjowałem. Pisałem wiele, próbując przekonać żonę, że powinniśmy odciąć się od złej, kryzysowej przeszłości i zacząć budować na nowo dobre, zdrowe relacje. Moje intencje były tyleż szczerze i szlachetne, co naiwne. Wtedy jeszcze nie miałem świadomości, że nasza trudna przeszłość wymaga gruntownego przepracowania i wyciągnięcia żelaznych wniosków, a nie zamknię-

cia jej za kurtyną przemilczenia i zapomnienia. A tak to wtedy widziałem.

Moje esemesy to były istne wielo-odcinkowe tyrady. Zdałem się na siłę perswazji, licząc, że żona podda się mojej wizji. Te oczekiwania zakończył ostatecznie jeden jej krótki esemes: „Ludzie prości potrafią żyć mądrze. A my?”.

Zaskoczyła mnie. Poirytowany, odpisałem szorstko, że nie interesują mnie żadni prości ludzie, bo my tacy nie jesteśmy. Jesteśmy ludźmi wykształconymi, wrażliwymi i możemy sami swoje życie naprawić, jeśli tylko zechcemy, bez oglądania się na nikogo. Lepiej patrzeć na siebie... I to był koniec naszego serialu esemesowego.

Jednak tamta myśl żony wracała do mnie często. Ale już na spokojnie. Nie wiedziałem, kogo miała na myśli, i nigdy o to nie zapytałem. Po latach jednak wykielkowała we mnie zgoda na to przesłanie. Zacząłem szu-

kać przykładów. I dość szybko przyszli mi na myśl moi rodzice.

GŁOŚNE I CICHE DNI

Ich małżeństwo przez wiele lat było trudnym związkiem. Z dzieciństwa pamiętam wiele awantur. Rodzice kłócili się o jakieś niewykonane prace domowe, o nieroztropne wydawanie pieniędzy, no i o liczne kontakty taty z protestanckim Kościołem Adwentyistów Dnia Siódmego oraz prowadzone przez niego lokalne akcje ewangelizacyjne. Tata przez wiele lat był członkiem tego Kościoła, przyjął ponowny chrzest, ale sympatyzował też z innymi wyznaniem protestanckimi, szukając cały czas „prawdziwego Kościoła”. Cierpiała z tego powodu nasza rodzina, gdyż ja z siostrą i mamą należeliśmy do Kościoła katolickiego. Tata miał do niego bardzo krytykancki stosunek. Dopiero w ostatnich latach życia powrócił na jego łono, a przed

śmiercią przyjął kapłana i przyjął sakramenty.

Wiele kłótni rodziców z okresu mojego dzieciństwa kończyło się cichymi dniami. Źle to znosiłem, często wychodziłem z domu, aby nie być świadkiem trudnych sytuacji. Byłem przygnębiony. Po ukończeniu szkoły podstawowej kontakt z rodzicami miałem rzadszy, mieszkalem w internatach i w domu bywałem raz na dwa, trzy tygodnie. A w czasie studiów na KUL w odległym Lublinie widywaliśmy się jeszcze rzadziej. Pod koniec moich studiów zawarłem ślub, szybko przyszły na świat dzieci. Czasu na spotkania z rodzicami – jak wówczas uważałem – było zawsze mało. Tym bardziej że pracoaholizm i liczne pasje już wtedy zaczynały dominować w moim życiu.

Od kiedy rodzice doczekali się telefonu stacjonarnego, często do nas dzwoniли. Rozmawiała z nimi najczęściej żona, bo mnie zwykle nie było w domu. Wiedziałem, że są dumni z mojej żony i naszych dzieci. Ja też byłem! Od czasu do czasu nas odwiedzali, na miarę swoich sił i możliwości.

WSPOMNIENIE PASTORA

Zacząłem częściej odwiedzać rodziców w ostatnich dwudziestu latach ich wspólnego życia. Przyjeżdżałem do nich na dwa, trzy dni. Zauważyłem, że rzadziej się spierają, a jeśli już coś ich poróżni, to nie ma wielkich kłótni ani cichych dni. Zdumiewali mnie swoją zażyłością. Często kładli się wcześniej do wspólnego łóżka, aby, jak mówili, „wygrzać kości”, ale nie zasypiali szybko, bo zazwyczaj jeszcze dwie lub trzy godziny spędzali na rozmowie albo lekturze, co dane mi było słyszeć, kiedy odpoczywałem w sąsiednim pokoju. Coś tam sobie opowiadali, śmiali się, o kimś poplotkowali, czasami tata coś mamie czytał. Niekiedy na koniec dnia śpiewali jakąś pieśń religijną. Byłem zdziwiony tą zgodą i przyjaźnią. Nie wiedziałem, skąd ta przemiana, ale cieszyłem się ich radością dojrzałego życia.

Dopiero po śmierci taty poznałem źródło tej przemiany. Pogrzeb był, rzecz jasna, w obrządku katolickim, ale na koniec uroczystości na cmentarzu pożegnali tatę także jego przyjaciele z dawnego zboru adwentystycz-

nego. Ich pastor powiedział mi wtedy, że bardzo cenili tatę za jego konferencje biblijne, które sam przygotowywał i głosił od czasu do czasu w ich zborze. Zasłynął konferencją o konieczności przebaczenia sobie w małżeństwie jeszcze przed zachodem słońca w dniu sporu czy kłótni...

NIECH SŁOŃCE NIE ZACHODZI

To była katecheza oparta na przesłaniu św. Pawła z Listu do Efezjan: „Gniewajcie się, a nie grzeszcie: niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!” (Ef 4, 26). Te słowa Apostoła Narodów warto postrzegać w kontekście życia zgodnego z powołaniem,

Trzeba przeprosić jeszcze przed zaśnięciem. Nigdy nie ma pewności, czy ta noc nie będzie ostatnia.

na które on sam uczula nas już na początku tego rozdziału: „A zatem zachęcam was ja, więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, jakim zostaliście wezwani, z całą pokorą i cichością, z cierpliwością, znośząc siebie nawzajem w miłości” (Ef 4, 1-2). Bardzo dobrą konkretyzacją takiego powołania może być życie małżeńskie. To w nim tak bardzo potrzebna jest wspomniana pokora, a także cichość oraz cierpliwość. A gdy któreś z tych cnót zabraknie i zrodzi się gniew prowadzący do kłótni, koniecznie trzeba przeprosić współmałżonka, jeszcze tego samego dnia, przed zachodem słońca, przed zaśnięciem. Nigdy jednak nie możemy mieć pewności, czy ta najbliższa noc nie będzie ostatnią w naszym życiu...

Życie małżeńskie to ciągłe uczenie się znośzenia siebie nawzajem w miłości. Tę mądrość tata wcielił w życie w sposób dosłowny i konsekwentny, jak na prostego człowieka przystało. I takie życie wiódł przez ponad dwadzieścia ostatnich lat. On, prosty człowiek z żywym umysłem, z wykształceniem tylko podstawowym, bo szansę na jakiegokolwiek dalsze, gdy skończył lat czternaście, zabrała mu druga wojna światowa.

OPOWIEŚĆ TATY

Zapadł mi głęboko w pamięć wieczór po pogrzebie mamy. W gronie najbliższej rodziny siedzieliśmy przy stole, pijąc herbatę. Przygnębiające

milczenie przerwał tata i opowiedział nam o odejściu mamy. Nie prosiliśmy go o to, ale miał taką potrzebę...

Obudziła go mama po trzeciej nad ranem. Powiedziała, że nie może spać, że jest jej duszno, że ciężko się oddycha, leżąc. Usiedli więc na krawędzi łóżka. Po chwili mama powiedziała: „Okryj mnie, Jasiu, kołdrą, bo mi chłodno”. I tata bez słowa okrył ich oboje kołdrą, obejmując mamę prawym ramieniem. Tak siedzieli w ciszy, objęci, a właściwie, jak mu się wydawało, drzemali. Po kilkunastu minutach tata ocknął się, postanowił, że wstanie i zrobi herbatę. Zwolnił uścisk, podniósł się, aby pójść do kuchni, i z przerazieniem zobaczył, jak mama powoli osuwa się bezwładnie na pościel...

Po tych słowach tata rozplakał się jak dziecko, niepohamowanym szloch. Chyba wszyscy mieliśmy wtedy oczy pełne łez, ale jego płacz był tym płaczem najsilniejszym, trudnym do opanowania, do utulenia... Zrozumiała to moja żona, siedząca obok niego, i położyła swoją dłoń na jego dłoni. Ten serdeczny gest pozwolił tacie się uspokoić...

KTO KOCHA, UMIERA W POKOJU

Ostatnie słowa mamy to dla mnie coś więcej niż tylko prośba skierowana do taty. To piękne wyznanie miłości żony do męża, wyrażone w kilku słowach prośby ustami prostej kobiety. Te słowa prośby mamy i bezsłowna odpowiedź na nią taty, okazana sobie czułość i troska – to dobry przykład owego znośzenia siebie w miłości, aż do końca ziemskiego żywota. Wszecmocny Bóg obdarował mamę łaską dobrej, spokojnej śmierci. Czy można przewidzieć dla żony lepsze odejście do Pana niż zaśnięcie w objęciach kochającego męża?

Moja żona ma rację. Ludzie proszą potrafią żyć mądrze. I potrafią mądrze kochać. Dobre przykłady możemy znaleźć blisko siebie, a zachętę i pomoc – w słowie Bożym. Potrzeba nam tylko pokory, cichości i cierpliwości.

Autor należy do Wspólnoty Trudnych Małżeństw „Sychar”

zenon.cieslak@interia.pl